

JANUSZ TAZBIR
Warszawa

ROZWAŻANIA O DZIEJACH OJCZYSTYCH

Odeszliśmy (chyba bezpowrotnie?) od przekonania, iż winna istnieć jedyna, powszechnie obowiązująca i zaopatrzona w najwyższą aprobatę synteza dziejów Polski. W chwili obecnej na rynku czytelniczym krąży parę takich zarysów. Każdy z nich, z ilu by się tomów nie składał, niezależnie od tego, czy spłynął spod pióra jednego autora, czy też jest dziełem spółki pisarskiej, może liczyć na szybkie zniknięcie z półek (a raczej spod lady). To samo da się powiedzieć o zarysach obejmujących dzieje paru tylko wieków, szczególnie jeśli są opatrzone nazwiskami wybitnych historyków. Dowodem, błyskawicznie rozprzedane *Dzieje Polski nowożytnej* Władysława Konopczyńskiego. Są to jednak wszystko książki pisane z myślą o dość szerokim kręgu czytelników, a wśród nich i dla takich, co nie znają podstawowych faktów z historii Polski, Europy czy świata.

Muszę jednak wyznać, iż od dość dawna marzy mi się skrócona wizja narodowych dziejów, adresowana do historyków, a więc ludzi o dużej erudycji (inna sprawa, że u niektórych wąskich specjalistów z tą znajomością innych epok różnie bywa). Obok pewnej sumy faktów, nie przesadnie jednak wielkiej, stanowiłaby ona prezentację także i hipotez badawczych, i to w połączeniu z historiozoficzną refleksją nad meandrami narodowego losu. Byłaby to odmiana dziejów literatury polskiej, napisanych w latach ostatniej wojny przez Jana Lechonia¹. A więc książki, w której informacji jest stosunkowo niewiele, sporo się za to mówi o osobistych poglądach autora. Znalazłoby się tu również miejsce dla rozważań na temat, co by było, gdyby...

No właśnie, gdyby na przykład bitwa pod Grunwaldem zakończyła się zwycięstwem Krzyżaków, a odsiecz Wiednia tryumfem Turków. Przy tym wszystkim jednak autor musiałby unikać traktowania dawnych władców, polityków czy dowódców jak leniwych studentów, którym nie chciało się przeczytać podstawowych podręczników, napisanych w XX wieku. Przed laty Władysław Konopczyński pisał sarkastycznie o *Dziejach Polski* M. Bo-brzyńskiego, iż są „wyrozumiałe dla wszelkich wrogów polskości, a nielitościwe dla wszystkich królów i mężów stanu, co nie przeczuli, czego od

¹ J. Lechoń, *O literaturze polskiej*. New York 1946.

nich po 300, 500 latach zażąda ten lub ów profesor”². Konopczyński pisał to w 1918 r., nadal jednak wielu historyków ma za złe Janowi III Sobieskiemu, iż przyszedł z pomocą późniejszemu zaborcy, a Zygmuntowi I „Staremu”, że zezwolił na powstanie Prus, które tak bardzo dały się później we znaki nie tylko Polsce, ale i całej Europie.

Postulowana wizja byłaby zaopatrzona w mnóstwo znaków zapytania, sygnalizujących uczciwie, że wielu, i to nieraz dość podstawowych, rzeczy nie wiemy, a niektórych (jak na przykład prawdziwego przebiegu sprawy Stanisława Szczepanowskiego) nigdy się zapewne nie dowiemy. Wolna od więzów, jakie nakładają obie cenzury: zewnętrzna i wewnętrzna. Przez tę drugą rozumiem obawę badacza przed pisaniem prawd niepopularnych, przed profanacją narodowych świętości, przed posądzeniami o oportunistyczny koniunkturalizm. W chwili obecnej z różnych przyczyn, o których można by wiele mówić, istnieje bowiem oddolne zapotrzebowanie na optymistyczną w ostatecznym rachunku wersję narodowych dziejów. Polska jawi się w niej w roli niewinnej ofiary, państwa nigdy nie prowadzącego wojen zaborczych, kraju którego usytuowanie między trzema bandyckimi oprawcami nie mogło zakończyć się czymś innym, jak tylko golgotą rozbiorów.

Zwłaszcza przez międzywojenne dwudziestolecie przebiegają elizejskie pola narodowej zgody, na których Piłsudski z Dmowskim, a Daszyński z Bobrzyńskim wiodą dialog przeniknięty sympatią oraz pełnym zrozumieniem. Z zagorzałych przeciwników politycznych stali się — szczególnie na zawiadomieniach o rocznicowych nabożeństwach — po prostu „wielkimi Polakami”, a młodzież z niedowierzaniem przyjmuje informacje, iż Komendant w szarej maciejówce swe „pierwsze boje” toczył nie z wojskiem rosyjskim, lecz z endekami.

Zanim ten zarys, owa historia Polski dla historyków, powstanie pozwolę sobie naszkicować kilka punktów tak pomyślanego dzieła; dotyczyć one będą trzech ostatnich wieków istnienia szlacheckiej Rzeczypospolitej. Jest rzeczą oczywistą, iż w niektórych kwestiach nie uniknę powtórzeń z sądami, jakie przed kilku lub kilkunastu laty wygłaszał ktoś inny. Wydaje się to jednak nieuniknione zważywszy, że lwia część odkryć w humanistyce wynika z nieznamości wcześniejszej literatury przedmiotu. Podobnie zresztą jak dzieje techniki obfitują w pomysły czy wynalazki, które już ktoś przedtem poczynił, tylko że nie zdołano (nie chciano, nie umiano) ich wówczas wprowadzić w życie.

Zarys zacząłbym od ogólnych rozważań na temat geopolitycznej sy-

² W. Konopczyński, *O wartości naszej spuścizny dziejowej*. w: *Historycy o historii. Od Adama Naruszewicza do Stanisława Kętrzyńskiego, 1775 - 1918*. Oprac. M. H. Serejski. Warszawa 1963, s. 601.

tuacji Polski, która widziana nawet w perspektywie li tylko trzech wieków (XVI - XVIII) nie przedstawiała się najpomyślniej. Był to bowiem kraj wystawiony z trzech stron na niebezpieczeństwo agresji. Z jej realizacją w pełnym wymiarze mamy jednak do czynienia dopiero w dobie baroku, kiedy to na Rzeczpospolitą uderzano od południa (Turcja i Siedmiogród), wschodu (Moskwa) i północy (Szwecja oraz Prusy Książęce). Na szczęście jednak były to kraje nawzajem ze sobą skłócone, a ich atak nie nastąpił równocześnie. Dopiero sojusz trzech najpotężniejszych sąsiadów stworzył „pierścień śmierci”, w którym miała u schyłku XVIII wieku zgorzeć szlachecka Rzeczpospolita. Okazała się ona bezsilna wobec przemocy zaborców, ponieważ w XVI w. nie zadbano, mimo wyjątkowo pomyślnej konfiguracji międzynarodowej, o stworzenie silnej armii, sprawnej administracji i zasobnego skarbu. W następnym stuleciu nie zdobyto się na radykalniejszą reformę ustroju (zwłaszcza polskiego parlamentaryzmu), a w dobie Oświecenia nie potrafiiono sprostać wyzwaniu, którym było ostateczne okrzepnięcie absolutyzmu w Rosji, Austrii i Prusach. Bez radykalnych reform Polska mogłaby przetrwać jedynie pod warunkiem, iż leżałaby na wyspie (jak Anglia) lub na peryferiach Europy (Hiszpania czy Turcja), nigdy zaś jako państwo znajdujące się w środku kontynentu.

Od geopolityki przejdźmy do stolicy, przeniesionej na przełomie stuleci (1596?, 1611?) z Krakowa do Warszawy. Warto jednak przypomnieć, że i w XVI w. i w XVII w. najważniejsze wydarzenia działy się poza aktualną stolicą. Zwracał już na to uwagę Aleksander Brückner, który pisał, iż w przeciwieństwie do znaczenia Paryża dla dziejów Francji, Moskwy — Rosji, Berlina — Prus, Londynu — Anglii czy Wiednia — Austrii, historia Polski krążyła „około jakichś nor: Tyszowce, Tarnogród, Bar, Targowica, albo około siedzib magnackich...”³. Wprawdzie różnie oceniany hołd pruski odbył się w Krakowie, ale już odnowienie i petryfikacja unii polsko-litewskiej nastąpiła gdzie indziej (Lublin). To samo można powiedzieć o pierwszej wolnej elekcji, która miała miejsce na Woli pod Warszawą. Do miary symbolu urasta, iż ostatni z Jagiellonów umarł daleko od Krakowa (i Warszawy), bo w Knyszynie, a Stefan Batory w Grodnie. Zygmunt August znaczną część czasu spędził w Wielkim Księstwie Litewskim; po 1553 r. „pojęcie rezydencjalnej stolicy praktycznie nie istniało”⁴. Z kolei w XVII w., to co się działo w całej Rzeczypospolitej wywierało wpływ na wewnętrzne dzieje Warszawy. Nie bywało natomiast odwrotnie, mianowicie ona sama nie decydowała o losach rozległego Państwa. Nie sposób więc jej roli porównywać ze znaczeniem wy-

³ A. Brückner, *Kultura. Piśmiennictwo. Folklor*. Warszawa 1974, s. 159.

⁴ A. Sucheni-Grabowska, *Badania nad elitą władzy w latach 1551-1562*. w: *Spoleczeństwo staropolskie. Studia i szkice*. T. I, pod red. A. Wyczańskiego. Warszawa 1976, s. 62.

darzeń paryskich (Noc św. Bartłomieja, fronda, wybuch Wielkiej Rewolucji) dla dziejów Francji. Przyczyny były różne, wynikające zarówno z rozległości terytorium Rzeczypospolitej, jak i ze słabości polskiego mieszczaństwa. Pytanie, co by było, gdyby stolicę ulokowano w Gdańsku (a o takie zamiary pomawiała szlachta Walezego jeszcze długo po jego ucieczce) musi oczywiście pozostać bez odpowiedzi.

Dopiero za rządów Stanisława Augusta (a zwłaszcza od początku obrad Sejmu Wielkiego), to co się dzieje w Warszawie zaczyna decydować o losach narodu i państwa. Powstanie Kościuszkowskie przyspieszyło jego zagładę, listopadowe nie zdołało go wskrzesić, sierpniowe wywalczyć faktycznej suwerenności, a przecież wszystkie one miały miejsce w Warszawie. Usytuowanie stolicy na Mazowszu ułatwia jego niezbyt oświeconym mieszkańcom tłumną obecność na kolejnych elekcjach monarszych, co z kolei umożliwiło magnatom manipulowanie — mówiąc dzisiejszym językiem — tym niesfornym tłumem. W każdym niemal kraju była taka prowincja (ziemia), której mieszkańcy ze względu na swój prymitywizm oraz aspiracje, kolidujące z brakiem dojrzałości umysłowej, stawali się obiektem powszechnych żartów (Julian Krzyżanowski wykazał przekonująco włoskie źródło wielu conceptów antymazurskich⁵). Jedynie jednak w Polsce w sam środek takiej właśnie prowincji przeniesiono stolicę państwa.

Przedsiębiorczość, energia oraz, nazwijmy to wreszcie po imieniu, arywizm Mazurów musiały denerwować zwłaszcza zamożniejszą i światłą szlachtę z innych dzielnic, która w XVII w. popadła w kwiaty zadziwiający współczesnych nam badaczy. Pełna satysfakcji z uzyskanych przywilejów nie myśli już o dalszych zdobyczach, w tym również terytorialnych, lecz tylko o obronie aktualnego stanu posiadania. W tych warunkach musiało oczywiście szczególnie irytować wszędobylstwo Maćków i Bartoszków, którym się „jeszcze czegoś chciało”. Nie darmo mawiano, że jeśli Mazur dostanie się na pański dwór, to w pierwszym roku wszyscy z niego wyśmiewają, w następnym on ze wszystkich, a w trzecim poważa się kpić i z samego pana. Słusznie przeto postąpił Sienkiewicz skoro z bohaterów *Trylogii* właśnie Rzędzian powiększa swą fortunę i podwyższa pozycję społeczną.

Od stolicy przejdźmy do terytorium, które w lwiej części powiększało się drogą dobrowolnych decyzji rządzącej tam elity (włączenie miast pruskich, inkorporacja Mazowsza, unia z Wielkim Księstwem). Być może dlatego też w XVII w. zabrakło szlachcie zrozumienia, iż państwo i to

⁵ Por. J. Krzyżanowski, *Koncepcje włoskie w polskich „żartach z Mazurów”*. w: tegoż, *Paralele. Studia porównawcze z pogranicza literatury i folkloru*. Warszawa 1977, s. 161 i nast.

nader rozległe, może powstać na drodze dobrowolnych decyzji. Obronić go jest natomiast w stanie tylko siła, a tej nie potrafią w Rzeczypospolitej zbudować. Nieszczęściem Polski było również i to, że o ile wiek XVI przyniósł ostateczną akceptację dualistycznego charakteru Rzeczypospolitej, to następne stulecie nie zdobyło się na akt równej dojrzałości politycznej. Po unii polsko-litewskiej nie nastąpiła bowiem polsko-litewsko-ruska: spóźniony co najmniej o jedno pokolenie Hadziacz nie stał się drugim Lublinem, a elita kozacka załóżkiem nowej magnaterii. Elita ta przegrała walkę z „królewietami”; była to równocześnie klęska całej Rzeczypospolitej, która w dalszej perspektywie poważnie skróciła jej życie jako samodzielnego tworu politycznego.

Powstanie kozackie, 1648 r., z kolejnego konfliktu wewnętrznego, który powtarzał się kilkakrotnie, będąc czymś pomiędzy buntem chłopskim a wojną domową, zakończyło się tym razem — na skutek interwencji tatarskiej, a po niej rosyjskiej — umiędzynarodowieniem konfliktu. Przypomnijmy, że aż do 1795 r. nie udało się tego uczynić żadnej frakcji magnackiej; na próżno Jerzy Lubomirski chciał posłużyć się obcą pomocą za cenę częściowego rozbioru Polski. Kolejność bywała odwrotna: zdrada magnacka pojawiała się dopiero po obcej interwencji (Ujście i Kiejdany po wkroczeniu wojsk szwedzkich, Targowica po wejściu w granice Rzeczypospolitej oddziałów rosyjskich). W 1454 r. bunt miast pruskich przeciwko Krzyżakom pociągnął za sobą przejście znacznej części ich państwa pod berło Jagiellonów. Zapoczątkowany w 1648 r. bunt Chmielnickiego doprowadził do odpadnięcia znacznej części terytoriów wschodnich od Rzeczypospolitej. Historia się powtórzyła, tym razem jednak w wersji niekorzystnej dla Polski.

Osłabienie Rzeczypospolitej było tak znaczne, iż walką orężną w polu nie zdołała uzyskać korzystnych dla siebie rozstrzygnięć. Podkreślam to „w polu”, gdyż dotąd wojska polskie okazywały się bezsilne przede wszystkim wobec dobrze ufortyfikowanych twierdz czy zamków. Stanisław Trawkowski utrzymuje, że gdyby Krzyżacy zamiast stawić się nieopatrnie na otwartej płaszczyźnie pod Grunwaldem zamknęli się w swoich zamkach, nie prędko zapewne dalibyśmy sobie z nimi radę. Świadczą o tym wymownie wydarzenia wojny 13-letniej, jak również parokrotne a daremne próby zdobycia dobrze umocnionego Gdańska. *Notabene*, publicystyka szlachecka atakując to miasto nigdy nie próbowała rozpałać nienawiści etnicznych i wyznaniowych, choć różnice te były dla wszystkich oczywiste. W oczach szlachty Gdańsk-Chłਾਂńsk stanowił siedlisko bogacących się jej kosztem i aroganckich mieszczan, nie zaś na przykład siedzibę luterskich Szwabów.

Również o ostatecznym zwycięstwie nad Szwedami zadecydowały walki w polu, a nie obleganie twierdz. Rok 1655 nie byłby zresztą jako ge-

neralna klęska możliwy bez poprzedzających go paroletnich i wyniszczających zmagania z Kozakami, Tatarszczyzną i Rosją (podobnie zresztą jak 1772 r. bez konfederacji barskiej). „Potop” obnażył po prostu wewnętrzną słabość Rzeczypospolitej, przyspieszył oraz pogłębił pewne procesy już przedtem w niej zachodzące. Zyskał zaś tak wielką sławę w późniejszej historiografii, gdyż zwłaszcza w XIX w. ujrzano w nim „generalną próbę” późniejszych rozbiorów. Z uniknięcia przez państwo polskie ostatecznej katastrofy kazali potem wielu pokoleniom czerpać otuchę powieściopisarze i publicyści. Niektórzy z nich lubią po dziś dzień powoływać się na wydarzenia lat 1655 - 1660, widząc w nich praprzyczynę wszystkich późniejszych słabości Polski, naszych czasów nie wyłączając, choć podobna myśl nie powstałaby w głowie żadnego z niemieckich autorów piszących o jeszcze straszliwszych zniszczeniach, jakie nawiedziły jego ojczyznę w dobie wojny 30-letniej.

„Potop”, w tym przede wszystkim najazd szwedzki, wiązano z ciągłymi aspiracjami Wazów do korony szwedzkiej. Otóż trzeba sobie powiedzieć, iż stosowanie wobec całych dynastii zbiorowej odpowiedzialności występuje w naszej publicystyce co najmniej od XVI w., jeśli nawet nie wcześniej. Piszę o dynastii, nie zaś o poszczególnych władcach, gdyż tak naprawdę, to nowożytną Polską rządziły trzy kolejne dynastie. Przerwy wypełniło najpierw panowanie dwóch królów-cudzoziemców (1574 - 1586), następnie zaś dwóch magnatów wywodzących się z królewiatek kresowych (1669 - 1696). Cudzoziemców starano się za wszelką cenę powiązać z panującą przedtem dynastią, m. in. podsuwając im za żonę siostrę zmarłego króla (Walezemu bez powodzenia, Stefanowi z mizernym rezultatem). Pod rządami Wazów usłużna propaganda dworska raz po raz przypominała o więzach krwi, jakie ich łączą z Jagiellonami. Sobieski, a jeszcze bardziej jego ambitna małżonka, usiłowali założyć własną dynastię. Wolna elekcja stanowiła więc raczej walkę o poszerzenie i zabezpieczenie wolności stanowych szlachty niż szukanie nowego kandydata na tron. Gdyby nie wymarcie najpierw Jagiellonów, następnie Wazów, ta sama dynastia rządziłaby Polską aż do schyłku XVIII w., choć nie jest wykluczone, iż uprawienia monarsze byłyby równe tym, które posiadał król angielski.

Każdy kolejno władca był witany z większym lub mniejszym entuzjazmem, żegnany natomiast z ulgą i zawodem. Przyczyniała się do tego również i polityka samych królów, traktujących nasz kraj jako kartę przetargową. Dla Batorego Polska miała być, obok Moskwy, odskocznią do walki z Turcją, która w czasie, gdy Europa podbijała znaczne połacie Dalekiego Wschodu, Afryki i Ameryki, poszerzała panowanie Azji na naszym kontynencie. Wazowie chcieli się posłużyć polską koroną dla odzyskania szwedzkiej, August II i August III — dla wzmocnienia swej władzy w Saksonii. Nie jest przeto rzeczą aż tak bardzo dziwną, że już w

XVI w. wykształciły się dwa kompleksy szlacheckie. Pierwszy z nich to obawa przed ucieczką władcy, porzuceniem tronu w trakcie panowania, jak to uczynili w XVI w. Walezy, a w następnym stuleciu Jan Kazimierz. Drugi z kompleksów wyrażał się w podejrzeniu, że o nas z obcymi władcami „targ czynią”, do czego zresztą konszachty Wazów z Habsburgami, a Sasów z Rosją dawały wszelkie podstawy.

Jeszcze bardziej istotna w patrzeniu królowi na ręce była obawa przed jego, naturalnym jak sądzono u każdego z władców, dążeniem do wzmocnienia władzy. Żadnemu z monarchów nie udało się zahamować słabnięcia władzy monarszej w Polsce, a tym bardziej uczynić istotny krok na drodze do *absolutum dominium*; brakło im sojuszników, już to dlatego, że opierali się na niepopularnych w Polsce z uwagi na styl rządów Habsburgach czy Burbonach, już to ze względu na brak sojuszników, jakimi w innych państwach były silne miasta. Kończąc przed przeszło trzydziestu laty studia znałem wszystkie przyczyny dla których szlachecka Rzeczpospolita nie przekształciła się w monarchię absolutną. Dziś nie mógłbym się podpisać pod żadnym z tych powodów. Co ważniejsza, nie potrafię odpowiedzieć na dwa inne, co najmniej równie istotne pytania. A mianowicie, kiedy zaczęły się w Polsce rządy oligarchii magnackiej? I drugie, kiedy po raz ostatni zaistniała możliwość naprawy ustroju Rzeczypospolitej? Jak się wydaje, nie miał już jej Jan III Sobieski. A może do przeprowadzenia tak ryzykownej operacji należało wykorzystać szok, jaki przeżyło społeczeństwo szlacheckie po upokarzających klęskach z lat 1648 - 1660? Są to jednak wszystko domysły i hipotezy.

Przechodzę do spraw kultury. Na początku należałoby zamieścić ostrzeżenie przed zbytnią wiarą w funkcjonowanie jasnych i zdecydowanych cezur w jej rozwoju. Scholastyką trącą dziś rozważania nad czysto średniowiecznym czy też wyłącznie renesansowym charakterem dorobku Jana Długosza. Jego dzieło musi natomiast nasuwać smutną refleksję na temat braku zdecydowanego postępu w zakresie dziejopisarstwa, skoro XV-wieczny kronikarz pozostał największym historykiem przedrozbiorowej Polski. Podobnie zresztą jak Jędrzeja Kitowicza nie zdołał prześcignąć w precyzji obserwacji oraz przejrzystości konstrukcji żaden z późniejszych badaczy dziejów obyczajów, Jana Stanisława Bystronia nie wyłączając. Wolno też wątpić, czy barok skończył się naprawdę w latach 1720 - 1740 (według innych badaczy 1740 - 1760), skoro jego relikty przetrwały na prowincji szlacheckiej do połowy XIX wieku, kiedy to zostały uwieńczone wręcz genialnym piórem młodego Henryka Rzewuskiego.

Skoro już mowa o baroku: była to jedyna formacja w dziejach naszej kultury, która rozpoczęła się nad Wisłą i Dnieprem równocześnie z jej początkami na Zachodzie. Wszystkie inne, od renesansu poczynając a na

romantyzmie kończąc, przyszedł do nas ze znacznym opóźnieniem. Powtórzę tu tezę, którą głoszę od dawna: można sobie wyobrazić naszą kulturę bez manieryzmu, rokoka czy oświecenia. Gdyby natomiast nie barok, to i tak na terenie olbrzymiego państwa, w którym wpływy orientalne szły od południa oraz wschodu, jak również z wewnątrz kraju, wykształciłyby się jakieś oryginalne kształty, oparte na zasadach synkretyzmu kulturowego. Brak odpowiednich zestawień bibliograficznych uniemożliwia przytoczenie konkretnych danych, wydaje się jednak, iż nigdy tyle utworów nie zostało przełożonych wprost z polskiego, co właśnie w XVII w. Przeciętny absolwent szkoły średniej (umyślnie nie używam pojęcia inteligent, bo cóż ono dzisiaj znaczy) zapytany o najpopularniejsze nazwiska literackie doby baroku wymieniłby zapewne z poetów Wacława Potockiego i Zbigniewa Morsztyna, z pamiętnikarzy Jana Chryzostoma Paska, z dramatopisarzy wreszcie Sebastiana Herakliusza Lubomirskiego. Tymczasem w XVII w. znano jedynie drobną część twórczości dwóch pierwszych i nie nimi zaczytywał się przeciętny szlachcic w „długie, jesienne i zimowe wieczory”. O istnieniu znakomitego pamiętnika nikt oczywiście (może poza najbliższą rodziną Paska) nie miał najmniejszego pojęcia. Podobnie zresztą jak nikt, wyjąwszy widzów paru przedstawień, nie oglądał, a tym bardziej nie czytał dramatów Lubomirskiego⁶.

Człowiek XVII wieku poczułby się chyba zakłopotany, gdybyśmy poprosili go o wymienienie ulubionego autora. Czytywano bowiem raczej dzieła niż określonych pisarzy. Obok lektur lżejszego kalibru w rodzaju kalendarzy czy zbiorów anegdot, sięgano także po poważniejsze traktaty polityczne — oczywiście pióra Andrzeja Maksymiliana Fredry, a nie Frycza Modrzewskiego. Z historyków największym powodzeniem cieszyli się Wespazjan Kochowski, tenże Fredro czy Paweł Piasecki. Z nazwisk, które i dzisiaj nam coś mówią — Jan Kochanowski i Piotr Skarga, ale z uwagi na zupełnie inne dzieła. Pierwszy był również i w środowiskach różnowierczych czytany jako autor przepięknych przekładów ze Starego Testamentu (*Psalterz Dawidów*). Jeśli zaś chodzi o Skargę, to niesłychanym powodzeniem cieszyły się wielokrotnie wznawiane *Żywoty świętych*; mało kto natomiast pamiętał, że był on autorem *Kazań sejmowych*, którym w XIX i XX stuleciu będzie zawdzięczał trwałe miejsce w panteonie narodowych świętości. Za wzór w oczach barokowych kaznodziejów uchodził Fabian Birkowski, a nie Piotr Skarga. Dopiero XIX wiek miał i tu przetasować karty, wprowadzając do historii literatury staropolskiej nową skalę wartości, obowiązującą po dziś dzień.

Kończąc rozważania nad rozdziałem o kulturze, chciałbym ostrzec

⁶ Por. J. Tazbir, *Bariera druku i gusta czytelnice w dobie baroku*. „Odrodzenie i Reformacja w Polsce”, t. 30, 1985, s. 77 i nast.

przed przecenianiem naszego wkładu do dorobku cywilizacji świata. Zdarza się bowiem i tak, że z jednej strony działalność malarską braci Bogdana i Krzysztofa Lubienieckich, rozwijaną w Niderlandach traktujemy jako udział Polski w rozwoju holenderskiej sztuki. Z drugiej zaś dzieła włoskich czy flamandzkich architektów, rzeźbiarzy czy malarzy powstałe na terenie Rzeczypospolitej uważamy za polski wkład do rozwoju sztuki ogólnoeuropejskiej.

O ile formacje kulturowe pojawiały się u nas przeważnie z pewnym opóźnieniem, to opozycja antykościelna (mamy tu na myśli prądy uważane przez Rzym za heretyckie) występowała z reguły zbyt wcześnie. Byliśmy chrześcijaństwem stosunkowo młodym, posiadającym zgoła inne kłopoty niż kościoły „rzymskie” we Włoszech, Hiszpanii czy Francji. Stąd też nawet idący z sąsiednich Czech husytyzm nie „zainfekował” Polski w stopniu, jakiego należało się z uwagi na słowiańskie powinowactwo spodziewać. Reformacja z kolei stanowiła lekarstwo na choroby, które nasz organizm kościelny toczyły jedynie w nieznacznym stopniu. Tłumaczy to po części tak szybkie zwiędnięcie w Polsce tego ruchu. Nie dawał się nam we znaki jansenizm, a tym bardziej libertynizm, wreszcie Oświecenie polskie zajmowało wobec religii i Kościoła dość powściągliwe stanowisko.

Podobnie jak zachodnioeuropejskie herezje nie były poważniejszym zagrożeniem dla polskiego Kościoła, tak i łacina nie stanowiła niebezpieczeństwa dla polszczyzny. Wyolbrzymiano je, i to niekiedy w dość historyczny sposób, ujmując walkę mowy Cycerona z językiem rodzimym niemalże w kategoriach darwinowskiej walki o byt. A przecież żaden język martwy nie zdołał nigdy i nigdzie doprowadzić do zagłady żywej mowy. Ponadto w krajach, gdzie łacina była dobrze rozwinięta i powszechnie wśród elity intelektualnej znana, rozwój literatur narodowych nastąpił o wiele wcześniej.

Gorsze niebezpieczeństwo stanowiło inne zjawisko powtarzające się zresztą dość często w dziejach Kościoła polskiego. Jego ścisłe zespalanie się z kulturą narodową, połączone z częściowym przejmowaniem funkcji państwa, było wydarzeniem pozytywnym z punktu widzenia interesów tej kultury. Czymś ujemnym natomiast, gdy na nie spojrzemy przez pryzmat samego Kościoła. Płacił on bowiem za to prowincjonalizacją, polonizacją, czy — jak chcą niektórzy — sarmatyzacją polskiego katolicyzmu, co oznaczało odcięcie go od wielkich sporów, które w ożywczy sposób wstrząsały zachodnioeuropejską organizacją kościelną. Towarzyszyło temu ubożenie życia wewnątrzkościelnego, upadek teologii i kaznodziejstwa.

W historii Polski dla historyków nie mogłoby oczywiście zabraknąć czegoś, co nazwałbym bilansem zamknięcia. Na szczęście nie musimy go kończyć na epoce saskiej. Łatwo sobie wyobrazić, co by było, gdyby już

w 1772 r. Rosja zdecydowała się podzielić polskim łupem z sąsiadami. Wówczas z naszych dziejów zniknęłyby i rozkwit kultury Oświecenia, i reformatorskie poczynania Sejmu Wielkiego i wiele bohaterских epizodów z kampanii 1792 i 1794 r. Przeszlibyśmy na karty historii, a co za tym idzie do pamięci następnych pokoleń, jako naród, który z własnej winy utracił niepodległy byt państwowy. Niekarne oddziały konfederatów barskich uległyby dość szybko przemocy sprzymierzonych mocarstw. Co ważniejsza, najwaleczniejsi przedstawiciele tego ruchu bronili wartości, które następnym pokoleniom trudno by było zaakceptować. To prawda, że barzanie wyciągnęli szable w obronie narodowej niezawisłości, równocześnie jednak głosili hasła nietolerancji religijnej oraz społecznego konserwatyzmu. Ich wizją była Polska sarmackiego anachronizmu. Zgoła innej ojczyzny bronił Jakub Jasiński w Wilnie oraz na szanćcach Pragi, za poprawą doli chłopskiej i podźwignięciem gospodarczym miast wypowiedali się żołnierze Kościuszki.

A gdyby udało się nam w 1792 r. obronić zagrożoną niepodległość i zrealizować w pełni zapoczątkowane przez Sejm Wielki oraz konstytucję 3 maja reformy? Nie ustrzegłoby to Polski przed poważnymi konfliktami na trzech co najmniej polach. Pierwszy z nich to opór ze strony olbrzymiej części szlachty, gołoty i nieposesjonatów, których pozbawiono praw politycznych. Nie mogła jej odpowiadać również i snuta przez niektórych reformatorów wizja uszlachcenia całego narodu. Przywileje rozciągnięte na wszystkich przestają być przywilejami. Drugą płaszczyzną konfliktu stanowiłyby stosunki z Kościołem, który zamierzano poddać ściślejszej kontroli ze strony państwa. Zamiany przejęcia na jego własność majątków kościelnych czy likwidacji wszystkich bractw religijnych stanowiły tylko część systemu, który można by nazwać polskim józefinizmem. Konflikty z Kościołem, do jakich doszło w dobie Królestwa Polskiego, pokazują w małej tylko części skalę zatargów Rzymu z Warszawą, które zaistniałyby w warunkach pełnej i całkowitej niepodległości.

Wreszcie, sprawa odrębności drugiego członu Rzeczypospolitej jakim było Wielkie Księstwo Litewskie. Została ona faktycznie zlikwidowana na mocy postanowień Konstytucji 3 maja. Co więcej, ówczesni działacze polityczni zakładali całkowitą i nie zawsze dobrowolną polonizację innych grup etnicznych, z wyjątkiem zamieszkałych w Prusach Królewskich Niemców. Ideałem Hugona Kołłątaja było, aby każdy mieszkaniec Rzeczypospolitej „mówił po polsku z potrzeby związku z rządem, choć mógł pozostać przy swej dawnej mowie przez nałóg lub uprzedzenie”. Owe „związki z rządem” wymagały stawania w sądach, w których nie będzie wolno „innego języka prócz polskiego używać”. I pobieranie nauk w szkołach, gdzieby „wyzwolone umiejętności dawane były w szkołach

ojczystych”⁷. Również Tadeusz Kościuszko postulował przyspieszoną asymilację chłopów ruskich. „Z czasem duch polski w nich wejdzie. Za nieprzyjaciela sądzić będą potem tego, który by nie umiał języka narodowego”. „Oświeceni” — pisał Kościuszko — powinni użyć tych metod „ku powszechnemu dobru”⁸. Podobne poglądy głosili w tym czasie przywódcy Wielkiej Rewolucji, dla których być patriotą znaczyło mówić po francusku, a więc posługiwać się językiem republiki i wolności⁹.

Umowność cezur historycznych sprawdza się nawet na przykładzie 1795 r., a więc daty tak istotnej dla dziejów naszego państwa. Nie kładzie ona kresu rozwojowi polskiego Oświecenia, ponadto mieszkańcy Rzeczypospolitej już co najmniej od 1717 r. zaczęli się oswajać z tym, iż nie są suwerennymi gospodarzami w swoim państwie. W związku z tym rodzi się zresztą pytanie wykraczające poza zasygnalizowane bariery chronologiczne. A mianowicie, jak odciska się na psychice narodu fakt, iż od początków XVIII wieku poczynając aż po 1918 r., miał on w swej historii zaledwie parę lat (okres Sejmu Czteroletniego) czy też kilka miesięcy (powstanie kościuszkowskie oraz listopadowe) faktycznej niezawisłości.

W świadomości historycznej wielu Polaków zakorzeniło się przekonanie, że ojczyzna ich, jak o tym wymownie od co najmniej dwustu lat świadczą jej dzieje, należy do najniezwyklejszych krajów Europy. Dowodem są trzy kolejne rozbiory, przeszło stuletnia niewola, z wszystkimi jej konsekwencjami, a zwłaszcza powstania narodowe, które zawsze wybuchwały nie w porę. Zamiast iść pod sztandary Kościuszki należało poczekać do śmierci Katarzyny II, po której tron objął przychylniejszy nam Paweł. Listopadowe i styczniowe wybuchły za późno: pierwsze powinno było rozgorzeć w okresie, gdy wojska rosyjskie były zajęte na froncie tureckim, drugie posłużyć za dywersję w okresie wojny krymskiej. Tak by się zapewne i stało, gdyby konspiratorzy znali używane przez nas podręczniki... Trudno jednak zaprzeczyć, iż Historia dość często obchodziła się z nami po macoszemu. Dość często, ale czy zawsze?

Pod wrażeniem kolejnych klęsk wielu oddało się rozpaczy. Julian Ursyn Niemcewicz wspomina w *Pamiętnikach*, że przejeżdżając w 1793 r. przez Czechy, których mieszkańcy zamieniali się w Niemców, myślał: „tak będzie i z niefortunną Polską naszą, dźwięk mowy naszej w poczi-

⁷ H. Koliątaj, *Stan oświecenia w Polsce*. Wrocław 1953, ss. 11-12 oraz tenże, *Listy Anonima i Prawo polityczne narodu polskiego*. T. I. Warszawa 1954, ss. 64 i 76, t. II, s. 246.

⁸ *Pisma Tadeusza Kościuszki*. Oprac. H. Mościcki. Warszawa 1947, ss. 45-46.

⁹ M. De Certeau, D. Julia, J. Revel, *Une politique de la langue. La Révolution française et les patois: L'enquête de Grégoire*. Paris 1975, *passim*.

wych tylko zostanie się rolnikach”¹⁰. Gdyby wszyscy poszli śladem Franciszka Karpińskiego, który u grobu Zygmunta Augusta złożył nie tylko lutnię ale i szablę, nie powstałyby Legiony. Żołnierzy Legionów Dąbrowskiego niektórzy publicyści nazywali pogardliwie „kondotierami”, wylewając na ich dobre imię sporo czarnego atramentu i — żółci. A tymczasem ci właśnie rzekomi kondotierzy przypomnieli o niezłomnej woli Polaków „wybicia się na niepodległość”. Poświadczył ją *Mazurek Dąbrowskiego*, hymn zaiste niezwykły, w którym nie wspomniano o Bogu, a zamiast własnego króla umieszczono obcego mocarza. A jednak słowa „będziem Polakami” świadczyły, że nawet twórca nie wyobrażał sobie przetrwania narodu bez istnienia własnego państwa.

Wielokrotnie pisano o daremnym przelewaniu polskiej krwi w służbie „niewdzięcznego Napoleona”, jakby ta sama krew nie była i tak przelana przez żołnierza odzianego w rosyjskie, pruskie czy austriackie kamizaszki. Bez Legionów nie powstałoby Księstwo Warszawskie, a bez Księstwa oraz armii ks. Józefa nie zostałyby następnie, po klęsce cesarza, stworzone Królestwo Polskie, Wielkie Księstwo Poznańskie czy Wolne Miasto Kraków. Tymczasem w latach 1795 - 1807 na politycznej mapie Europy próżnobyśmy szukali choćby półkadłubowych, autonomicznych tworów, przypominających o istnieniu rozległej terytorialnie Rzeczypospolitej obojga Narodów. Z jej to kresów będzie się wywodzić polska elita kulturalna XIX wieku: nie cierpiący warszawskich salonów Mickiewicz, urodzony w Krzemieńcu Juliusz Słowacki, przedstawiciele „szkoły ukraińskiej”, profesorowie uniwersytetu w Wilnie czy liceum w Krzemieńcu. Obu tym uczelniom kres położyło dopiero powstanie listopadowe.

Mogliśmy się stać łupem jednego tylko mocarstwa, skuci z nim nigdy nie zmienianym łańcuchem niewoli. Wówczas jedynym dla Polaków schronieniem stałaby się perspektywa emigracji na Zachód czy nawet za ocean. Podział pomiędzy trzy państwa sprawiał, iż nasilenie germanizacji i represji w zaborze austriackim, który w latach 1772 - 1848 był najgorszym ze wszystkich trzech, zbiegło się z okresem autonomii Królestwa Polskiego. Kiedy zaś w zaborze rosyjskim szalała rusyfikacja, a pod rządami pruskimi *Kulturkampf*, polskim Piemontem stała się autonomiczna Galicja. Trójzaborowość pociągała za sobą ułatwienia cenzuralne, skoro w Krakowie i Poznaniu można było dość swobodnie wydawać powieści poświęcone powstaniom z lat 1831 i 1863, a w Warszawie *Krzyżaków*. I nie tylko powieści.

August Bielowski, zamieszkały w zaborze austriackim, pisał w 1856 r. do pana na Kórniku, Tytusa Działyńskiego, iż „wydawcy w różnych częś-

¹⁰ J. Ursyn Niemcewicz, *Pamiętnik czasów moich*. T. II. Warszawa 1957, s. 61.

ciach Polski powinni by się rozdzielić". Tak więc w Poznańskim należy wydawać „materiały historyczne nowszej i drażliwszej epoki, czy też dzieła postępowe". A w Galicji „przeciwnie — tylko materiały dziejowe dawnej bardzo epoki". Pod zaborem pruskim wydawnictwa o zabarwieniu klerykalnym, „jak znowu w Królestwie i na Litwie wszelkiego rodzaju antyjezuityka najpomyślniej udają się". „Gdyby zaś takie rzeczy podał kto w rękopisie tu do cenzury, to nie tylko rękopis poszedłby na stos, ale i autor do kozy" ¹¹.

Podział naszego kraju pomiędzy trzech zaborców miał jednak i ujemne strony, które stanowczo przeważały nad ułatwieniami jakie stwarzał on dla literatury. „Polski łup" cementował bowiem ich wspólnotę. Doświadczenia 123 lat narodowej niewoli wykazały dowodnie, iż żadna insurekcja nie może doprowadzić do odzyskania niepodległości. Nie tylko bowiem Zachód nie przyjdzie jej z pomocą, ale nawet jeśli w ramach jednego z zaborów osiągnęła pewien sukces, to drugi sąsiad, w obawie o integralność własnego terytorium, udzieli wsparcia w jej stłumieniu. Wierzący w militarne szanse powstania listopadowego Jerzy Łojek przewidywał, iż po jego zwycięstwie „rząd polski musiałby przyjąć uroczyste zobowiązanie, iż na wieczne czasy wyrzeka się tych ziem zaboru [austriackiego i pruskiego]. Na wieczne czasy — znaczyłoby to w praktyce na piętnaście czy dwadzieścia lat, prawdopodobnie do Wiosny Ludów w roku 1848" — wówczas to rząd warszawski, dysponujący odpowiednią armią upomniał by się bardzo skutecznie „o ziemie zamieszkałe przez ludność polską" ¹². Ale przecież z takiej perspektywy zarówno Berlin, jak i Wiedeń zdawały sobie dobrze sprawę. I dlatego przyszły z pomocą Petersburgowi w 1794 r., jak również były gotowe uczynić to samo w 1831 r.

Odzyskanie przez Polskę faktycznej i pełnej suwerenności było możliwe tylko pod warunkiem takiej wielkiej wojny między trzema zaborcami, z której żaden z nich nie wyszedłby zwycięzcą. Graniczyło to oczywiście z cudem, w jaki niewielu tylko polityków mogło wierzyć w lecie 1914 roku. Jeśli wierzyć niektórym przekazom, należał do nich właśnie Józef Piłsudski. Gdyby Rosja, kierowana przez rząd tymczasowy, do listopada 1918 roku pozostała uczestnikiem koalicji, to jest rzeczą oczywistą, iż Polska „nie wybiłaby się na wolność". Przy pełnej aprobacie Francji i Anglii powstałaby co najwyżej nowa wersja Królestwa Kongresowe-

¹¹ H. Chłopocka, *Korespondencja Augusta Bielowskiego z Biblioteką Kórnicką w latach 1845 do 1876*. „Pamiętnik Biblioteki Kórnickiej", z. 16, 1980, ss. 224 - 225.

¹² J. Łojek, *Szanse powstania listopadowego. Rozważania historyczne*. Warszawa 1980, s. 90.

go, z autonomią kulturalną i częściowo polityczną, w miarę upływu lat coraz to bardziej ograniczaną.

Trudno w to wątpić, skoro bowiem kapitalistyczny Zachód już w 1943 r. pozostawił w sferze wpływów komunistycznej Rosji całą Polskę wraz z sąsiadującymi krajami, to tym bardziej uczyniłby to samo ćwierć wieku wcześniej w stosunku do kapitalistycznej, pozostającej na przykład pod rządami kadetów. W takim przypadku nie mieliśmy za sobą owych dwudziestu lat II Rzeczypospolitej, bez której istnienia nie powstałaby oczywiście Polska Ludowa (podobnie jak bez Księstwa Warszawskiego nie byłoby Królestwa Polskiego).

Podstawowy błąd wielu polityków połowy XX wieku polegał na przekonaniu, iż cuda należą do zjawisk powtarzalnych. Wyrażało się to w wizji pokonanych po raz drugi Niemiec oraz tak osłabionej na skutek zniszczeń i działań wojennych Rosji, iż nie będzie ona w stanie wpływać na polityczny kształt środkowowschodniej Europy. Wynikał z niezrozumienia tego, że pierwsza zmiana granic w tej części Europy, jaka miała miejsce od 1815 r., mogła wcale nie doprowadzić do realizacji naszych marzeń o niepodległości. A więc, że mogło być gorzej...